

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 41. Poznań, dnia 8 Października 1870. Rok II

Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

J. K. Turskiego.

(Ciąg dalszy).

III.

Otwarcie testamentu.

Byłeś zapewne łaskawy czytelniku uczniem i wiesz co to znaczy ta epoka oczekiwania między egzaminem, któryś już odbył i to dobrze — a rozdawaniem nagród. Serce bije. Myśl niepokoi się w tłumie przypuszczeń — i cały organizm nerwowy i krwisty, w rozstrojeniu i gorączce drga — i wstrząsa tobą niespokojnie. Jutro odczytają nazwiska pilnych i godnych nagrody — może tam twego nie będzie — dla czego? Ty czujesz, żeś zasłużył. Byłaby to niesprawiedliwość. Gniewasz się, — rzucasz się — po chwili reflekcya przychodzi: ależ ja nie wiem czy mnie tam nie będzie. Może będę — ha! jakaż radość — jakież słodkie wakacye — i znowu marzysz słodko — po chwili szepce trwoga — tak ciesz się, a potém będziesz płakał Ha! czemu ten dzień tak się wlecze — żeby go przespać — śpisz — śni ci się, że dostajesz nagrodę — szczęśliwyś — płaczesz z radości — i budzisz się — a tu jeszcze 12 godzin do rozdawania nagród — niecierpliwisz się — wpadasz w gorączkę; — drżysz, zasnąć nawet nie możesz — i ciągle widzisz nagrodę — czujesz nagrodę — słyszysz nagrodę — ale jéj nie masz, nie dali ci jéj — cierpisz męczarnie Tantala — i twój stan prawdziwie godzi się nazwać męczarnią. Otóż więc w takiéj męczarni ukazuję ci teraz Szanowny Czytelniku, pana Stanisława Ciołka. Stoi on na środku swego pokoju — nie umeblowanego wcale — bo zaledwie zaopatrzonego w łóżeczko i stoliczek ordynarny — i w ręku trzyma papier — pieczęć na nim duża — to list. Tak jest to list. Przeczytajmy go: Exekutorowie testamentu po ś. p. Ambrożym Ciołku mają honor wezwać Pana Dobrodzieja na dzień jutrzejszy na godzinę 11 z rana, w którym to czasie odczytanym zostanie testament ś. p. Ambrożego Ciołka, w obec całego grona jego rodziny. Mamy zaszczyt i t. d.

— Więc jutro — mówił z Hamletowską intonacyą wezwany legataryusz — jutro — albo będę bardzo szczęśliwy — albo zawiodę się. Mogę być bogaty. Nieboszczyk mógł mi zapisać ze 20,000!... Cicho! taka summa w mojém ręku — byłbym sobie panem. Cobym téż z nią zrobił. — Procent mogę liczyć zawsze na 10 od sta. Każdy mi da; — pożyczę na hipotekę — będę miał 2,000 pensyi — mogę żyć i nie troszczyć się o więcéj. Mogę żyć z nią... z nią? — kto wie — toby było mało. — Z nią bym zaczekał jeszcze... ale ja sam mógłbym już być szczęśliwym. Tak, a jak będzie parę tysięcy — to nic — to stracę — wyjadę przynajmniéj zwiedzić świat. — Nie! głupio myślę. Jeślibym dostał 20,000, żenię się. Co tam, że mało. Kupuję Lepiankę, którą pani Wilecka dzierżawi — i jestem szczęśliwy. Lecz mię korci ten dzień cały oczekiwania. Trzeba iść rozerwać się. I pogawędziwszy jeszcze ze sobą — poszedł — lecz wszędzie widział swój legat o 20,000 — taką sobie sumkę ułożył, według tego co pani Wilecka tajemniczo paplała. — Poszedł do cukierni — w każdém ciastku widział cztery zera z dwójką — wziął gazetę do rąk — każde słowo zamieniało się mu w oczach w wyraz legat 20,000; nic go nie zajmowało, nic rozerwać

niego czémś nadnaturalném. Po chwili, gdy z pierwszego wrażenia ochłonął, łzy wdzięczności zaświeciły mu w oczach. Były to łzy szczere — była to szczera i czysta wdzięczność; było to właśnie takie błogosławieństwo dla nieboszczyka, jakiego sobie życzył. — Reszta formalności odbyła się dość prędko — a potém zaczęli się goście, czyli członkowie familii Ciołków rozchodzić. Stanisław zbliżył się wtedy do pani Ambrożowéj i drżącym ze wzruszenia głosem wybąknął zaledwie te słowa: W istocie na to nie zasłużyłem, i czuję nawet jak mię ten legat oblewa rumieńcem wstydu.

— Poczciwy nieboszczyk — o nikim nie zapomniał, odrzekła na to pani Ambrożowa, odwracając umyślnie rozmowę od niemiłego przedmiotu.

— Bóg jednak widzi, iż żadną drogą niegodną uczciwego człowieka, nie starałem się o to

— O! któżby sądził — rzekła zasmucona wdowa — i zwróciła się ku stojącéj obok kuzynce, któréj nieboszczyk tylko 5,000 zapisał.

Stanisław uważał za rzecz stósowną pożegnać się — i zrobiwszy to natychmiast, opuścił progi domu — który już był jego własnością. Jeszcze nie wyszedł na ulicę, kiedy mu w głowie zaczęło mącić się i szumieć; — taka niespodzianka była za wielką dla niego; takie szczęście przygniata nieraz silniéj niż smutek lub zmartwienie; wprawdzie tylko na chwilę, ale zawsze dotkliwie. Stanisław czuł się przygniecionym. W sercu radość i niebo roskoszy, w myśli chaos i zamięszanie. Z takiego usposobienia wyradza się często gorączka — lub nawet w drażliwszych choroba cięższa jeszcze. Kiedy był na ulicy, stanął przed bramą i spojrzał po całym domu. Piękny jego fronton o trzech rzędach okien i tyluż balkonach, ładnie bardzo reprezentował całą kamienicę, czysto i porządnie utrzymywaną. — To moje! rzekł sam do siebie, patrząc się na kamienicę swoję od stóp do głów, tak jak się patrzy na człowieka, którego ma się bliżéj poznać; a wymówił te słowa tak głośno, przez zapomnienie i zbytek radości, że aż przechodzący przypatrywali się jego osobie. — Popatrzywszy jeszcze parę razy na swój majątek — lecz nie będąc jeszcze w stanie dobrze zrozumieć swego szczęścia, pobiegł przyspieszonemi kroki do — Lepianki, aby tam opisać całą scenę otwarcia testamentu. Przez drogę stawał filozoficznie kilka razy — ręką przecierał czoło — lub przytrzymywał serce, które gwałtownem biciem, o mało że nie wyskoczyło z piersi — i biegł znowu — i stawał — i szamotał się — i gadał ze sobą głośno — aż dobiegł nareszcie. — Inni członkowie rodziny Ciołków różne prowadzili między sobą rozmowy, opuszczając salę pani Ambrożowéj.

— Ale się spisał stary, mówił jeden bogacz, najmniéj interesowny — tylko z tą kamienicą, to mi się nie podoba.

A pewno, wtrącił jakiś młody Ciołek, któremu nawet czasem roiło się po głowie, że tę kamienicę odziedziczy — zapisał ją jakiemuś intruzowi do naszego imienia....

— Ale nie o to mi chodzi, odparł bogacz; ja tylko w tém widzę nonsens, że taki legataryusz, chcąc czy nie chcąc, musi życzyć śmierci pami Ambrożowéj.

— A i to prawda.

— A potém, któż mu zaręczy, że ją przeżyje?

— No — to przecież wypada przypuścić — ona ma lat 60 a on 22 może najwięcéj.

— Tak — ale to zawsze nie pewne; lepiéjby stary zrobił, żeby mu był zapisał kilkadziesiąt tysięcy — i wiem, że ten pan Stanisław wolałby taki legat. —

Inni znowu mówili: Stara będzie się cieszyła domem z rok, bo więcéj nie pociągnie.

— Éj kto wie, zauważył ktoś inny, takie chuderlawe osoby to często bardzo długo żyją. A zresztą będzie miała wygody i wszystko, czego zapragnie, to i pożyje.

— Ha! to pan Stanisław poczeka sobie trochę na swój legat

— Dobrze mu tak, po co się łasił, pewno sam sobie wybrał taki prezencik, bo stary go bardzo lubił.

— Éj to zręczny jednak był lis.

— Filut;

— Czy tylko dobrze wyjdzie na tém.

— Ha! zobaczymy.

— Gdy więc takie prowadzą o nim rozmowy, on dopędza tymczasem do Lepianki i tam z rozpłomienioną twarzą z uniesienia opowiada o swojém szczęściu. Tomcio ucieszył się z téj wiadomości, Wikci, sumiennie mówiąc, była ona obojętną, ale pani Wilecka nie przyjęła jéj tak, jak się spodziewano. Wiedziała ona o grubym jakimś zapisie dla Stanisława, ale o warunku dożywocia nie mówiono jéj wcale. A to dożywocie nie podobało się jéj.

— Wiesz Pan, że to wcale nie szczególny zapis. Czekać, aż tam ktoś umrze, dziękuję za to. A któż wie, czy ta kuzynka pańska nie pożyje z 10 lub 20 lat? —

— Czekaj, ja passyans postawię, zawołał Tomcio i zabrał się do kart.

— To prawda — rzekł rzeczywiście zbity z toru uwagą pani Wileckiéj Stanisław, ale ja myślę, że to przecież znaczy coś, być właścicielem takiéj realności. A tam w testamencie wyraźnie powiedziano, że pan Ambroży robi mię dzisiaj już jéj właścicielem.

— Tak? — a to zawsze dobrze; pan możesz sprzedać ten swój legat.

— Sprzedać!... nie! — zawołał trochę rozdraźniony tą rachubą pani Wileckiéj; ja chcę uszanować wolę nieboszczyka — a on sobie życzył, aby ta kamienica w rękach Ciołków została.

— O! to można ją sprzedać jakiemu Ciołkowi.

— Nie Pani — ja będę czekał — powiedział z niejakim przekąsem, czując, że teraz zupełnie inaczéj wygląda w jego oczach: i Lepianka i Mama i Wikcia i — nawet Tomcio, który jednak najwięcéj szczeréj radości okazywał, i cała ta marzona poetyczność gdzieś znikła mu z przed oczów i zostały tylko szkielety urojeń, w postaci rachmistrzów, zawiedzionych potrosze na swoich rachubach. I wstręt go brał do tych ludzi i do tego całego otoczenia, wśród którego się znajdował — i chciałby już jak najprędzéj uwolnić się od nich. Bo on biegł tam do nich czemprędzéj, aby się pochwalić swojém szczęściem, a oni mu tém szczęściem każą spekulować i wyprowadzać je na targ. Więc całą gorącość jego uczuć oziębili mu swoją praktycznością — i zniechęcili

nie mogło; poszedł do Lepianki. Oznajmił o dniu jutrzejszym. Cieszono się, radzono — marzono. Lecz Stanisław czuł, jakoby mu w sercu owa gorąca miłość ku Wikci — wyziębła... jakoś nie miała już dla niego uroku ta idylliczna sielankowa poetyczność Lepianki — gdy wracał do domu mówił znowu: Nie — nie kupię Lepianki — kupię domek na przedmieściu — jakoś mi się tam dzisiaj u Wileckich nie podobało. Nie wiem co to znaczy, ale ta Wikcia coraz mniéj ma dla mnie uroku Ej — do kaduka — kiedyż tam to jutro nadejdzie. Wszystko się inaczéj ułoży. I tak marzył, gadał ze sobą — dręczył się, męczył, pocił nawet — w domu nie spał, gorączkował — zupełnie jak ten uczeń, którym się niniejszy rozdział rozpoczyna.

Wreszcie dzień otwarcia testamentu nadszedł — godzina jedenasta wybiła — z bijącém sercem Stanisław wstępował po schodach do mieszkania pani Ambrożowéj. Sala osobna przygotowaną była do przyjęcia członków rodziny. Na środku był stół nakryty zieloném suknem — na nim papiery, pióra i atrament — na pierwszém miejscu siedzieli urzędnicy i dwaj exekutorowie testamentu, wezwani przez notaryusza — byli to tylko przyjaciele, nie krewni zmarłego, przez niego samego jednak obrani i uproszeni. Krewni zaczynali się dopiero schodzić. Powitania ich między sobą były ciekawe Byli tam bowiem i magnaci i różnego stopnia majątkowego Ciołkowie, jedni ciekawi, niektórzy chciwi, niektórzy i potrzebni — wszyscy zaś lubiący niespodzianki legatów testamentarnych, z naprężoną uwagą — i dla tego też z oczami dziwnie błyszczącemi. Stanisław zastał już spore grono swoich krewnych. Powitawszy panią Ambrożową uprzejmie, został przez nią przedstawiony całéj a nie znającéj go familii. A to Hieronima syn — podobny. A! słyszeliśmy o Panu dużo dobrego. Niektórzy przemawiali do niego „kuzynku,“ starsi z mężczyzn mówili mu „ty“ ściskając mocno za ręce. Szmer rozmów krążył po całéj sali — nareszcie urzędnik zadzwonił — towarzystwo się uciszyło — i utworzyła się grupa godna pędzla Hogarta — kilkadziesiąt głów podniosło się do góry — wszystkich uszy natężyły się całą potęgą słuchu: ten drżał z niepewności i trwogi — ów bladł z obawy zawiedzionych nadziei — ten udawał obojętnego a oczy mu się iskrzyły namiętną żądzą chciwości — ów kiwał na obie strony głową, niby i tego się niespodziewając, że się tak wielu członków zbierze, smutna i żałobna wdowa wzdychała, popłakując czasami na wspomnienie téj ostatniéj pamiątki po mężu, którą sam żywém jeszcze słowem dyktował — inni znowu pozowali się sztywnie i zimno, a i tak przecie czyto z założonych palców na palce niespokojnie — czyto z przygryzienia warg, widać było, że im nie obojętną jest ta prelekcya, na którą przybyli: w ogóle była to przecudna i najróżnorodniejsza mozajka typów i charakterów, których tu poszczegółowo nie kopiuję, jako do całości mego opowiadania nie należących, które jednak malarzowi artyście nastręczyćby mogły wybornego materyału do rodzajowego obrazu.

Gdy urzędnik formalne ukończył przemowy — i do rozpieczętowania testamentu przystąpił, głuchy szmer niecierpliwości powstał między słuchaczami. — Wtedy nastąpiło czytanie. Tu dopiero mozajka typów zaczęła się mieniać, grać rozmaitością barw i wyrazów, smutnieć i zielenieć ze złości, tam weselić się i aż płakać z uciechy; tu zaciskać pięści na niegodziwość, tam wznosić ręce ku niebu na błogosławieństwo i spokój duszy zmarego. Stanisław milczący i blady czekał dość długo na swój legat. Serce biło mu w piersi mocno — ale całą siłą panował nad sobą, aby nic zdradzić swojéj wewnętrznéj walki. Słuchał on z uwagą śmiałych i oryginalnych uwag ś. p. Ambrożego, któremi jego legata były przeplatane, a najbardziéj podobało mu się wyrażenie: iż testament poczytuje nieboszczyk za nagrobek nad swemi zwłokami stawiony. „Wątpię, aby dłużéj pamiętali ci, o których tu będzie mowa (były słowa pana Ambrożego), o zwłokach moich i o mnie — jak aż do ich rozsypania się w proch. A to, co sobie sam postawię na grobie, trwać będzie jednak najdłużéj.“ — Był tam jeden punkt, który Stanisława przeszył trwogą. „Krewni moi mają się dzięki Bogu dobrze — życzę im szczęścia — i żałuję, że im nie mogę niczém wpisać się w pamięć, jak tylko ostatniém ich pożegnaniem.“ — Poczytując więc siebie Stanisław także za krewnego, zatrwożył się od razu, lecz po chwili gdy urzędnik przeczytał nazwiska wszystkich, pożegnanych tylko przez nieboszczyka — ochłonął, bo jego tam nie było. Ci zaś, których przeczytano, powykrzywiali swoje fizyognomie wcale nieprzyjemnym wyrazem. Nastąpiły potém różne legata drobne dla sług, ubogich, po tysiąc, dwa, trzy i cztery tysiące — Stanisława między niemi nie było. Szły potém legaty po 10 tysięcy — na klasztory, towarzystwo dobroczynności, kościoły podupadłe — a wreszcie nadszedł taki punkt. „Resztę gotowizny mego majątku, po obliczeniu w obec świadków dokonaném, wynoszącéj 200,000 złp. zapisuję czyli raczéj zwracam mojéj najpoczciwszéj żonie Maryi — jéj dobremu sercu przypisując błogosławieństwo boże, pod jakiém to zebrałem co mam.

Stanisław bielał jak ściana — wszystko się już kończyło, o nim ani wzmianki. Wreszcie urzędnik czytał punkt taki: Téjże mojéj najukochańszéj żonie przeznaczam wszystkie moje ruchomości i kosztowności, zostawiając jéj woli dalsze niemi rozporządzenie. Dom zaś mój, nie zadłużony, moją czystą własnością będący, przeznaczam do posiadania jéj także aż do najpóźniejszéj śmierci — robiąc dzisiaj już jego właścicielem bez posiadania Stanisława Ciołka, syna Hieronima, który to młodzieniec pracą swoją i pilnością zjednał sobie moje ojcowskie przywiązanie. — Tu nastąpił szmer podziwienia — wszyscy się spodziewali wprawdzie jakiegoś zapisu dla Stasia, ale takiego znacznego — nigdy. Czysta na hipotece kamienica nieboszczyka cenioną była do 120,000 złp. Taki więc majątek oddać w ręce człowieka obcego, jakiegoś tam dalekiego wujeczno-ciotecznego kuzynka — wydawało się im niesprawiedliwością. Wiedzieli oni, iż pani Ambrożowa blisko sześćdziesięcioletnia, nie długo będzie korzystała z swego dożywocia, i dla tego też korciła ich taka chojność pana Ambrożego, przeciwko któréj nie mogli jednak w niczém zaprotestować. — Stanisławowi krew wystąpiła na twarz — i oczy jakimś dzikim zajaśniały blaskiem. Tego i on wcale się nie spodziewał. Z ubogiego studenta ujrzeć się naraz kamienicznym panem — było to dla

go ku sobie — tak, że wkrótce pogadawszy jeszcze trochę o otwarciu testamentu, wyszedł, chłodno pożegnawszy się z wszystkiemi.

— Éj nie ma się na co łakomić — mówiła mama po jego odejściu. Takie dożywocia to zawsze na nic dobrego nie wychodzą.

— Ale jak mamę kocham, wołał Tomcio talią kart trzymając w ręku, wyszło mi że dwóch lat nie pożyje.

— Éj nie plótłbyś głupstw, odrzekła mu na to matka.

Tymczasem na mieście inni znajomi i przyjaciele, spotykając się ze Stanisławem inaczéj go witali, niż pani Wilecka. Ten ściska go serdecznie za ręce, ów całuje w twarz, ów uprzejmie kłania się kapeluszem, ten się uśmiecha serdecznie, ten wzruszony rozrzewnia się aż do łez; — a wszyscy winszują a winszują, tak że biedny Stanisław ani przejść nie mógł spokojnie przez miasto — ze wszystkich stron będąc ustawicznie zaczepianym. Wszyscy wiedzieli już o jego legacie — bo wieść taka w niewielkiém mieście rozchodzi się błyskawicy szybkością; — różni różnie ją przyjmowali, wszyscy zaś przejęci byli uszanowaniem ku panu Stanisławowi, jako właścicielowi takiéj ładnéj kamienicy i jako ku człowiekowi majętnemu, który bądź jak bądź, zawsze wzbudza ku sobie uszanowanie, jeżeli nie w wszystkich, to przynajmniéj w takich, którzy majątek nazywają jedyném szczęściem człowieka, a jakich podobno jest i będzie zawsze — bardzo wielu. Więc nie mógł Stanisław poznać nawet tych ludzi, którzy go teraz tak uprzejmie witają. Byli bowiem i tacy, którzy dawniéj zaledwie skinięciem głowy na jego ukłon odpowiadali, a teraz witali go pierwsi, zapraszając najuprzejmiéj do siebie. Żydki, z któremi Staś czasami dawniéj pożyczkowe interesa załatwiał, a którzy zawsze okazywali się twardymi i nieugiętymi, teraz zmiękli jak wosk — i oto wszyscy z kapeluszami w rękach kiwają się a kiwają, ofiarując swoje najgotowsze posługi na zawołanie Wielmożnego Pana Dobrodzieja. Stary znajomy Stasia Abramek, któryby mu dawniéj ani krajcara nie pożyczył bez fantu — teraz oświadczał się głośno, że pożyczy, wiele tylko Wielmożny Pan zażąda, bez żadnego fantu. Sklepy, cukiernie, bawarye: wszystko to stało teraz otworem dla niego, wszędzie go zapraszano, obiecywano najlepsze towary, przyrzekając nieograniczony kredyt. Byli i tacy, którzy mu ofiarowywali mieszkanie u siebie do czasu, póki nie obejmie w posiadanie swéj kamienicy, a byli to, trzeba dodać, ci sami, którzy mu dawniéj nie chcieli wynajmować mieszkania, bojąc się o nieregularność wypłaty czynszowéj. Nie dziwić się więc, że Staś widząc takie do około siebie przemienienie, ledwie że doszedł do siebie umęczony i znękany prawie tém nowém swojém szczęściem, nad którém mu ludzie nie pozwolili przez drogę rozmyślać. Będąc w swojém mieszkanku odetchnął dopiero swobodniéj i zaczął marzyć o swojéj przyszłości. Najprzód tedy powtórzył sobie ten axiomat swego szczęścia, który upewniał go, że ma prawo liczyć na majątek przeszło stótysięczny — potém zaś rozważał nad sposobem użycia go jak najrozkoszniéj, do czego miała służyć decyzya obrania sobie zawodu. Lepianka przychodziła mu czasem na myśl — ale nie były to już Tadeuszowskie wspomnienia, nie była to nawet miłość owa demonomaniczna — gdyż teraz Stanisław ze wstrętem wspominał sobie o Wikci i jéj mamie, — w pierwszéj nie widząc żadnéj poezyi ni miłości ku sobie, w drugiéj widząc samą grubą interesowność O Tomciu nie myślał wiele. Najmniéj ku niemu czuł wstrętu, nie zrywał z nim bynajmniéj, ale nie traktował go wcale jako przyjaciela, jeno jako uległego sobie kolegę, posłusznego na każde jego skinienie. Więc w marzeniach jego złotych stótysięcznych, najmniejszą rolę odgrywała Lepianka, o któréj nawet postanowił nie myśleć więcéj, ale za to nowe pomysły zaczęły się roić po głowie, a głównym ich charakterem była odmiana życia, i przygotowanie się do godnego odziedziczenia tak znacznego majątku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przemytnicy z nad litewsko-pruskiéj granicy.

(Dokończenie.)

Wyprawy przemytników nie zawsze się kończą tak szczęśliwie, jakeśmy powyżéj to opisali; przeciwnie, często miewają one kres bardzo tragiczny, albowiem nietylko nader kosztowna kontrabanda ulega konfiskacie, lecz nawet niekiedy znaczna liczba ludzi traci życie. Tak n. p. przed kilkunastu tygodniami w gorącéj potyczce stoczonéj pomiędzy przemytnikami a Moskalami, w blizkości pogranicznego miasteczka Garsden, zginął jeden oficer, a kilkunastu żołnierzy było mniéj więcéj ciężko ranionych. Wartość kontrabandy, złożonéj tym razem z saméj okowity, stósunkowo bardzo nizka, wynosiła około czterechset rubli.

Z wielkiéj liczby nader interesujących wypadków tego rodzaju, o których się dowiedziałem od urzędników, starych przemytnikow, z posiedzeń sądów przysięgłych i sprawozdań dziennikarskich, przytoczę tu tylko jeden, który skutkiem omyłki moskiewskiéj Temidy, mającéj zwykle zamglone oczy, był dla jednego z uczestniczących w téj sprawie szczególnie fatalnym.

Za opowiadacza służył mi tym razem stary litewski przemytnik, Jurga, noszący, jak sobie czytelnicy zapewne przypomną, przydomek Syberyjczyka.

Gospodarz owéj przemytniczéj karczmy przyrzekł mi go przysłać jako sprawozdawcę; pewnego więc pięknego poranku przyszedł do mnie chłop stary, krzepki, barczysty, widocznie, mimo siwych włosów, wielkiéj siły i wytrwałości, zapytując mnie rezolutnie, czy to ja chcę o nim napisać książkę. Mógłbym był przypuszczać, że czyni alluzyą do znanego powszechnie kryminalnego romansu Temm'a, opiewającego czyny sławnego naczelnego przemytników, — gdybym nie był wiedział, że z literaturą w ogóle, a specyalnie z gałęzią dotyczącą jego zawodu, nie miał zgoła nic do czynienia. Podczas rozmowy przekonałem się, że jest najzupełniéj wtajemniczony we wszystkie stósunki i kwestye, obchodzące jego niebezpieczne rzemiosło, i sądzę, że mógłby napisać nietylko wielce ciekawe „Pamiętniki przemytnika,“ lecz nawet „Poradnik dla przemytników i wszyst-



Siejba



Przesadzanie rozsady.



Sprzęt i wymłot.

Uprawa ryżu w Chinach.

kich tych, co się chcą poświęcić temu zawodowi". Żałując mocno, że szczupłe ramy pisma nie dozwalają mi przytoczyć wszystkich przygód starego bywalca, ograniczę się tymczasem na krótkim opisie wyprawy, która mu przyniosła drogo opłacony przydomek.

— Będzie już temu 1 t ze dwadzieścia – opowiadał stary przemytnik — gdy razu pewnego przyszedł do mnie dawny znajomy, Icek Pinkus, Żyd w przemytnictwie arcy-doświadczony, by się ze mną porozumieć względem nader ważnego przedsięwzięcia. Odbierał on często znaczne zlecenia nawet z Moskwy i Petersburga, albowiem miał opinią nadzwyczaj szczęśliwego, zręcznego, a co więcéj i uczciwego przedsiębiorcy. Mieliśmy obecnie przenieść przez granicę wielki transport jedwabnych materyi, koronek, chustek i innych drogich towarów. które następnie z różnych kryjówek miano wysyłać daléj do miast moskiewskich. Wziąwszy tedy z pomiędzy moich ludzi około dwudziestu doświadczonych i wiernych zuchów, odebrałem towary za wypłaceniem Żydowi znacznéj kaucyi, od pogranicznych nam Żmudzinów, którzy je przywieźli byli do nas z Kłajpedy. Postanowiliśmy dość lekkie paczki przeprawiać przez granicę kontrabandą; Żmudzini z wyjątkiem ośmiu ludzi, mieli jechać przed nami na sankach. aż do punktu leżącego z téj strony drugiego domku strażnika i tam czekać na nas w celu przewiezienia towaru na miejsce przeznaczenia. Chcąc być tym bezpieczniejszymi, przekupiliśmy oficera najbliższéj granicznéj pikiety, skutkiem czego uważaliśmy się za tak bezpiecznych, ze nie czekając ciemnéj nocy, już wieczorem przekroczyliśmy granicę.

Znajdując się między szpiegami, gdy spostrzegłem w pobliżu jednę z tych słomianych budek, jakie sobie stawiają strażnicy dla ochrony przed wichrem i słotą, — postanowiłem się przekonać czy w niéj istotnie nie ma nikogo, coby być powinno, gdyby przekupiony przez nas oficer ściągnął wedle umowy z téj okolicy wszystkie wedety i wysłał je w inną stronę. Podsunąłem się więc ostrożnie pod chatkę, lecz któż opisze mój podziw i przestrach zarazem, gdy usłyszałem w niéj głośną rozmowę. Nagle wszystko mi się wyjaśniło: oto oficer prócz ładnéj, jedwabnéj sukni dla kochanki i rubli srebrnych wypłaconych mu za przyrzeczenie pomocy, życzył sobie beczułkę araku dla rozpędzenia nudów samotnego czuwania; prawdopodobnie tedy wziąwszy się zaraz do tak upragnionego napoju, albo opacznie, albo też wcale nie wydał rozkazów. Cóż począć? Powrócić nie mógłem. albowiem wstrzymanie transportu naraziłoby interesowanych na nieobliczone straty; obejście pikiety także na wieleby się nie zdało, gdyż mogłaby nas później spostrzedz i dogonić. Prędko ułożyłem plan. Skinąwszy na jednego z mych ludzi, uchodzącego za największego zucha, porozumiałem się z nim na migi: nagle poskoczywszy jak tygrysy, pochwyciliśmy broń obydwóch strażników, stojących przy wejściu do budki i zagroziliśmy leżącym na ziemi bez tchu, że ich zastrzelimy natychmiast, skoro tylko się poważą uciekać lub wołać o pomoc. Następnie związawszy obydwom ręce i posiliwszy łykiem araku, wysłaliśmy ich pod strażą kilku ludzi do gęstego lasu, leżącego na terytoryum pruskiém. Tym sposobem utorowaliśmy sobie przejście; idąc spiesznie bitym traktem, stanęliśmy niezadługo w gęstwinie. Tu czekaliśmy dopóki się zupełnie nie ściemniło, na szpiegów powracających z pod drugiego domku strażnika. Gdy ci po powrocie nas zapewnili, że wszędzie panuje spokój, ruszyliśmy dalej, a postępując naprzód mniéj więcéj poł godziny, dotarliśmy do wąwozu, prowadzącego ku strumykowi. Tu spotkać nas miało nieszczęście. Zaledwie nasz szereg (szliśmy bowiem jak zwykle w takich razach gęsiego, jeden za drugim) zaledwie mówię szereg nasz był w środku gęstwiny, gdy w tém padło kilka strzałów, a z boru po lewéj od nas stronie wybiegło kłusem dziesięciu do dwunastu Obieszczyków, wołając grzmiącym głosem: „Pastoj, pastoj!"

Na dziwne to w obec nas silniejszych liczbą wymaganie, odpowiedzieliśmy głośnym śmiechem i strzałami; pierwszy z nich ugodziwszy śmiertelnie oficera, zrzucił go z konia, podczas gdy trzy inne tyluż żołnierzy uczyniły nie zdolnymi do walki. Już sądziliśmy, że nam się uda przerznąć, gdy w tém druga pikieta Obieszczyków nadjechawszy z prawéj strony, równocześnie nas zaczepiła. Zacięta wywiązała się walka: wkrótce obie strony miały zabitych i rannych. Po chwili nadbiegł silny oddział piechoty, co mnie naprowadziło na domysł, że nas zdradził jeden z niegodziwych Żmudzinów, chcący sobie zaskarbić moskiewskie względy. Nie pozostało nic innego, jak powracać do domu: dałem umówione hasło. Prażąc przeciwników mocnym ogniem, ustępowaliśmy bokiem lasu, aby przynajmniéj być bezpieczniejszymi od jeźdźców. W tém spostrzegam w pobliżu mego bratanka, dzielnego chłopaka, w wielkim niebezpieczeństwie dostania się do niewoli; chcąc go uwolnić od napastników kolbą, gdyż nabić nie mógłem w pospiechu, — otrzymałem silny cios w głowę, który mnie powalił na ziemię. Przyszedłszy do przytomności, ujrzałem się na saniach pomiędzy sześciu rannymi jeńcami. — Jeszcze téj saméj nocy zawieziono nas daléj w głąb kraju, a po kilku dniach stawiono przed sąd; Żmudzini, jak im się zdawało na swą korzyść, powiedzieli, że ja to zastrzeliłem oficera, a wszelkie zaprzeczenia (Bóg widzi, że tego nie uczyniłem) nic mi nie pomogły.

Daremnie żądałem, by mnie wydano pruskim władzom; udawano, że mnie nie rozumieją, i po kilku tygodniach „przez pomyłkę" jak niejeden poczciwy Litwin przedemną, znalazłem się na drodze do Syberyi wraz z pojmanymi Żmudzinami, w towarzystwie złodziei, rozbójników, fałszerzy monety i innych złoczyńców.

Gdybym chciał opisywać okropność kilkomiesięcznéj podróży, czteroletniéj niewoli w tym strasznym kraju, i przygody wśród ucieczki ztamtąd, nie skończyłbym opowiadania w jednym dniu. —

Tak brzmiała prosta opowieść Jurgi; gdy mu wypowiedziałem zdziwienie, że po tak smutnych doświadczeniach nie zrzekł się przemytnictwa. rzekł z uśmiechem:

— „Przemytnicy podobnie, jak dzicy strzelcy, nie mogą się rozstać ze swém rzemiosłem. Cóż zresztą miałem począć. wróciwszy szczęśliwie do domu? Gospodarstwo moje było sprzedane, żona umarła; gdy mi więc bratanek, któremu się w owym nieszczęsnym dniu udało umknąć, powiedział, że następnéj nocy przechodzi przez granicę, byłem gotów iść z nim razem, — a od tego czasu brałem udział w niejednéj szczęśliwéj i nieszczęśliwéj wyprawie."

Podobne wypadki zdarzały się dawniejszemi laty bardzo często, a nawet jeszcze w r. 1868 stanął przed sądem w Kłajpedzie Litwin, który zeznał w protokóle, że schwytany z innymi przemytnikami przez Obieszczyków, przesiedział pięć lat na Sybirze.

Niekiedy kończą się takie potyczki w sposób arcyśmieszny. Od kilku lat przewożą przez granicę ogromną ilość okowity, co przynosi wielkie zyski, ponieważ artykuł ten jest pod rządem moskiewskim badrzo drogi, i niezmiernie wysokie cło nań nakładają. Gdy się tedy strażnikom uda wydrzeć ten towar przemytnikom, wtedy zwykle pozwalają im umknąć bez przeszkody, by się z niepraktykowaną chciwością rzucić na łup i pić tak długo, dopóki bez przytomności nie powalą się na ziemię. Z tego stanu opilstwa korzystają wtedy przemytnicy, by w oczach biednych strażników wśród śmiechów i szyderstw przekroczyć granicę.

W ostatnich jeszcze latach przekupstwo niezmiernie tu było zakorzenione i rozgałęzione, a niejeden znaczniejszy przedsiębiorca płacił rok rocznie celnikom i przemytnikom tysiące rubli, jako wynagrodzenie za pewne usługi. Uniewinniała urzędników po części nadzwyczaj szczupła pensya, nie stojąca w żadnym stósunku do

drogiego życia po nad granicą. Rząd wiedział dobrze, że zbytek, jaki prowadziło wielu, podwójnie lub potrójnie przechodził ich godziwe dochody, że więc musieli zapełniać to, czego im niedostawało, patrzeniem przez szpary na niejedną sprawkę. Skutkiem tego zachowywały sfery urzędowe w obec niesłychanego przekupstwa, panującego na pograniczu, pewnego rodzaju przyzwalające milczenie. Cała też hałastra strażników i celników od najniższego do najwyższego, umiała korzystać z każdéj nadarzającéj się gratki — boć wiadomo, że w Moskwie każde kółko olbrzymiéj rządowéj machiny kradnie na mniejszą lub większą skalę: policyant, czynownik, gubernatorowie, ministrowie i senatorzy. — Arcytrafném jest w téj mierze zdanie zmarłego Henryka hrabiego Rzewuskiego, że mu prędzéj dłoń włosem porośnie, zanim się znajdzie urzędnik moskiewski, któryby nie był gorącym zwolennikiem przekupstwa i kradzieży. Jeśli zresztą który z pogranicznych strażników za daleko się czasem posunie w szlachetném rzemiośle, wysyłają go dla przykładu na Sybir, by tam mógł rozmyślać nad znikomością szczęścia tego świata i zmiennością ludzkich względów — a rzeczy idą zwykłym torem daléj...

Choć od niejakiego czasu zmniejszyły się nadużycia i przekupstwo, w istocie pozostało tak samo, jak dawniéj — a wedle słów starego Żyda, znającego doskonale Moskali, złoty klucz otwiera u nich wszystkie zamki. Jak każdemu, mieszkającemu w tamtejszych okolicach wiadomo z własnego doświadczenia, i dziś tam przemycają niezliczoną ilość towarów, a szczelne strzeżenie granic nie osięga zamierzonego celu, t. j. podniesienia krajowego przemysłu: albowiem zagraniczne towary uniknąwszy kontrabandą wysokiego cła, mogą się bezpiecznie współubiegać z krajowemi. Prócz okowity sprowadzanéj w ogromnych ilościach po części morzem z portów Bałtyku za pośrednictwém kurońskich i fińskich rybaków, pomimo, że rząd wybudował dla straży w Rydze parowiec, — materye jedwabne, wełniane i bawełniane, mianowicie sukna, chustki, koronki, szale, daléj wszelkiego rodzaju wyroby z żelaza, stali, drzewa, skóry i perłowéj macicy, cygara, cukier — są najważniejszemi artykułami przemytnictwa. —

Niech nam będzie wolno w końcu dodać kilka uwag o wojsku, stanowiącém straż graniczną, jakiego nie masz w żadném ucywilizowaném państwie. — Straż ta jest zupełnie po wojskowemu uorganizowaną i rozgatunkowaną, lecz nie przez ministerstwo wojny, tylko finansów. Złożona z kawaleryi (obieszczyków) i piechoty (strażników) stanowi ona obok głównego celu rodzaj przytułku dla starych ludzi z wszystkich stron olbrzymiego mocarstwa. Można między nimi spotkać weteranów z czerkieskich i krymskich wojen, którzy tu zresztą mają do czynienia z walecznymi przeciwnikami, gdyż Litwini są w ogóle ludźmi do najwyższego stopnia odważnymi i zdeterminowanymi biją się dzielnie, strzelają wybornie i umieli taką obawę wlać w Moskali, że ci nigdy nie ośmielają się przekroczyć ich granicy, podczas gdy to na stronie zachodnio-pruskiéj bardzo często się zdarza. Oficerowie owego militarnego asylum są po największéj części bez najmniejszego wykształcenia i bez zasad powszechnéj moralności — a życie samotne i koczownicze przyczynia się do wyrobienia w nich charakteru dzikiego i wyuzdanego.

Służba pogranicznéj piechoty zależy na tém, by za dnia strzedz wspomnianego już powyżéj neutralnego gruntu, odpierać przemytników, czyli raczéj odbijać im kontrabandę i służyć podróżnym i ich towarom za konwój od rogatek aż do komory. Pojedyńcze wedety są tak rozstawione, że się mogą nawzajem wspierać. W nocy strzegą granicy obieszczyki, podczas gdy piechota (strażnicy) stoi w pewném oddaleniu. Żołnierze mieszkają w domkach strażniczych, obok których znajdują się zwykle pomieszkania dla oficerów.

Takimi są owi stróże prawa, których zgraje strzegą potwornego kolosu, zwanego caratem. Moskwa czując dobrze, że się dotąd nie otrzęsła z azyatyckich narowów, i bojąc się zetknięcia z resztą ucywilizowanéj Europy, odgraniczyła się od niéj chińskim murem bagnetów — a strzeżonemi tak pilnie granicami wkradają się mimo to w dobrém porozumieniu z rozpasaném żołdactwem zbiegowie, fałszerze monety, podpalacze i wszelkiego rodzaju zbrodniarze. Falanga moskiewska, strzegąca granic, ma obowiązek strzedz prócz towarów cudzoziemskich, niebezpieczniejszéj jeszcze od tych kontrabandy myśli „wolnodumnych.“ Lecz i te zapory runą, jak upadło wszystko, co zawdzięcza swój początek despotyzmowi samowoli i błędom. Cywilizacya i wolność wkroczą przez gruzy zawalonego muru i rozszerzą dobroczynne swe światło w gmachu ciemnoty i barbarzyństwa....

Nigdy sobą.

Nowella.

Napisał

Władysław Ordon.

Czy znacie fatalizm sławy?... Założyłbym się, że nie. Błogosławcie niebiosom łaskawi czytelnicy, że wam oszczędziły męki poznania go... Starożytność i Wiktor Hugo oswoiły was już z wieloma fatalizmami... Działa w nich albo nieugięty wyrok bogów, któremu sam nawet władzca Olimpu podlegać musi, albo żelazny i bezwładny ciężar praw socyalnych, nie troszczący się, co gniecie pod sobą... Jan Valjean i Orestes. — Na ten jednakże, o którym chcę mówić, nie zwróciliście zapewne uwagi. A przecież, należy on do objawów towarzyskich, spotykanych na każdym kroku... Równa mu potęga zwyciężyć go tylko zdolna!... Pochłania on i znicestwia indywidualność człowieka, robiąc go dodatkiem, księżycem, zerem. — Bez części głównéj, bez słońca, bez jednostki, ofiary jego nie istnieją. — Do was mówię skromni mężowie sławnych żon, nieszczęsni synowie wielkich ludzi, cisi przyjaciele potęg świetniejących w ludzkości. Głos mój odbije się echem w waszéj uciśnionéj piersi i wyzwie smętny gest potakiwania! —

Posłuchajcie, chcę wam wysnuć ponurą tragedyą jednego ze wspólników waszéj niedoli.

Akt I.

W lesistym zakątku Polesia mieszkała rodzina Zadorów. Skromna i nieznana długo, doczekała się wreszcie wielkiego splendoru. Pan Jan Zadora był jéj głową. Znacie go!... Sławą jego grzmiały wszystkie pisma, jego mowom, na sądach, towarzyszył trzask galeryi łamiących się pod naciskiem słuchaczy; Cycerońską w sejmie wymową exaltował zgromadzenie... legiony księgarzy oblegały go błagając o rękopisma licznych dzieł jego, na ulicach gaminy wskazywali go palcami a matki podnosiły z progów dzieci, żeby im wielkiego męża pokazać. Dosiągł szczytu popularności; był nawet na fajkach! Poprzestawali na tém Fryderyk i Napoleon. —

Cicha małżonka jego umarła zbyt wcześnie, nie mając czasu ucieszyć się sławą swego męża... Jedynym jéj spadkobiercą pozostał syn. Pocóż mu mamy dawać imię? Nie miał go nigdy. Pod opieką staréj

cioci, guwernerów i guwernantek rósł w zaciszu. Sława ojca jego dochodziła go tylko głuchém, rozbitém o sosny Poleskich lasów, echem. Nie wiedział nawet co to sława. Niestety! zbyt wcześnie miał się dowiedzieć. Ciche i stateczne dziecko — doszedł lat 19... Nie był ani wysoki ani niski, ani brunet ani blondyn, ani całkiém zły lub dobry, nie orzeł i nie kretyn — był tak sobie. W dniu jego męzkiéj emancypacyi cios wielki uderzył dom Zadorów i rozległ się ponurym trzaskiem po ziemi całéj. Jan Zadora umarł. Stolica pokryła się kirem. Dwóch księgarzy zrobiło majątek na jego biografiach, jeden padł rażony apopleksyą z rozpaczy, że spóźnił się z drukiem. Płacz był jak w Ramie, gdy nieboszczka Rachel jęczała ze swemi dziećmi... Wielki mąż konając polecił syna opiece swoich przyjaciół. Sprowadzono go do stolicy. Tysiące objęć wyciągnęło się na jego spotkanie, tłumy ludzi odprowadziły go z dworca. Dostał zaszczytne stanowisko. Jego Excellencya, minister, raczył go uściskać ze łzami. Awanse spadały na niego jak grad. Dostał bólu piersi od ciężaru orderów. Był całkiém szczęśliwy. Czasami jednak w tym upojeniu wstrząsała go głucha myśl: za co? Odganiał ją zawsze, uśmiechając się w zwierciedle pobłażliwie do siebie...

Raz, Jego Excelencya przyzwał go do siebie. Chodziło o nowy awans... Awansowany rozsypał się w grzecznościach...

— Wasza Excellencya mięszasz mnie swoją dobrocią, — potop łask mnie zalewa, czyż zasłużyłem na nie?

— Jakto ty? wykrzyknął szanowny mąż ściskając go ze łzami, syn mojego przyjaciela, syn naszéj chluby narodowéj, syn Jana Zadory! — I uścisnął go raz jeszcze, pisząc mu łzami na licach, jak na nagrobku epitafium dla jego wielkiego ojca!...

Młodzieniec wyszedł i zadumał się przed frontonem pałacu... To przeklęte: za co? wyszczerzało szydersko czarne zęby do niego... Myślał i myślał chmurniejąc coraz. Gwar jakiś wyrwał go z zadumy... Tłum pospólstwa otaczał go stojąc pełen respektu. Przywykł do tego, jednakże dzisiaj, zgrzytnąwszy ze złością, przeciął rozstępujące się przed nim fale ciekawych i popędził machając rękami do domu... Przed nim uchylały się czapki, zginały plecy przechodniów. Szept dyskretny pełzał z ust do ust i gonił za nim!

— To syn Zadory!

— Syn znakomitego naszego posła!

— Syn naszéj chluby!...

Młodzieniec wpadł do domu i drzwi zatrzasnął za sobą. Dwa dni spędził w samotnéj kontemplacyi... Owocem tego było postanowienie: Ożenię się...

„Ożenię się!“ wielkie słowo! Ożenić się jest to mieć dom, dzieci, przyjaciół — być cyfrą, liczyć się. Ożenić się, jest to zostać w pełni obywatelem... Jest to być czemś, być sobą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Uprawa ryżu w Chinach.

(Z 3 rycinami).

Najwięcéj obok ziemniaków rozpowszechnioną potrawą, używaną w pałacu i chatce, jest ryż, którego żniwo obecnie w październiku się odbywa. W dzikim stanie rośnie ryż w Abissyni i Indyach Wschodnich, lecz obecnie uprawiają go w Afryce, Azyi, Ameryce, a w Europie w Hiszpanii, Francyi, Włoszech, Turcyi i Węgrzech. Próby hodowania ryżu wykonywane kilkakrotnie w Niemczech, nie przyniosły odpowiednich zysków, lubo w ogóle ryż przynosi z wszelkich gatunków zboża najwyższe zyski. — W Chinach, gdzie uprawa ryżu najdaléj postąpiła, przynosi ryż 150—180, w Węgrzech zaledwie 60 ziarn.

Do uprawy przygotowują pole w następujący sposób: w miesiącu marcu zalewają przeznaczoną do uprawy przestrzeń wodą na 2 stopy, a w maju, gdy woda opadnie na jedną stopę, wzruszają ziemię lekkim pługiem, i zaraz jeszcze w stojącą wodę sieją ziarno, na rozsadę — jak to pierwsza rycina uwydatnia.

Następnie przesadzają rozsadę, jak u nas kapustę, w szlam. Pracę tę wykonywają prawie wyłącznie dziewczęta (druga rycina). — Pelenia nie znają i jedyną pracą, jaka ich jeszcze przed żniwami czeka, jest straszenie ptaków cisnących się na dojrzewające łany. —

Żęcie odprawiają kobiety rodzajem sierpu, a zżęty ryż albo zaraz na polu młócą, jak to na trzeciéj rycinie widzimy, albo też kłosy odcięte od słomy wiążą w snopki i tak sprzedają na targach.

W ten sposób odbywa się uprawa i sprzęt rośliny żywiącéj miliony ludzi. — W Polsce dotąd nie próbowano uprawy ryżu, lubo niektóre okolice Podola i Wołynia, przynajmniéj równie dobry jak węgierski, hodowaćby mogły.

W końcu dodamy jeszcze, że w krajach należących do Związku Północno-niemieckiego, cło od ryżu teraz znacznie obniżono.

Szarada.

Pierwsze, jest godłem naszego zbawienia,
Drugie i trzecie, karą przewinienia.
Czwarte, nazwiska wprost ojczyste biorą,
Wspak, choć z trzech liter jest jedną literą.
Wszystko nazwisko walecznego męża,
Który za wiarę nie szczędził oręża. —

(Rozwiązanie szarady w Nr. 40: ***Karawana***).

Korespondencya Redakcyi.

Panu M. L. w Ostrowie: Dziwi nas, że pomimo kilkakrotnéj odmównéj odpowiedzi, nie przestajesz pan nasyłania swych wierszy, które najmniejszéj wartości nie mają. — Panu K. M. w Ru... Nie możemy dopatrzyć się powodu pańskiego oburzenia. Odpowiedź była kategoryczna, ale granic grzeczności nie przekraczała. Jeżeli zaś Redakcya różnego była zdania co utworu Jego, odpowiadać za to nie możemy. — Panu L. W. w Dreźnie: Dziękujemy — w krótce otrzymasz pan list, w którym warunki nasze zakomunikujemy. — Głównie chodzi o dokładny rysunek. — Panu S. K. we Lwowie: — Widzisz źdźbło w oku brata twego, a nie widzisz belki we własném. — Panu A. Z. pod Bydgoszczą: Są wielcy ludzie do małych interesów i mali ludzie do wielkich. — Do tych ostatnich zaliczamy krytyków, co raz więcéj u nas mnożących się — krytyków, którym się zdaje, że dość jest kaligraficznie i ortograficznie pisać, by miano pisarza — krytyka nosić. — Panu M. Dzikowskiemu. — Rękopism i list wysyłamy. —